

Piekný
GANGSTER

J.T. GEISSINGER



Tytuł oryginału
Beautifully Cruel
Copyright © 2020 by J. T. Geissinger
All rights reserved
Copyright © for Polish edition
Wydawnictwo NieZwykłe
Oświęcim 2021
Wszelkie Prawa Zastrzeżone

Redakcja:
Przemysław Gumiński
Korekta:
Magdalena Mieczkowska
Edyta Giersz
Redakcja techniczna:
Mateusz Bartel
Projekt okładki:
Paulina Klimek

www.wydawnictwoniezwykle.pl

Numer ISBN: 978-83-8178-714-7

J. T. GEISSINGER

PIĘKNY GANGSTER

PIĘKNI GANGSTERZY #1

**TŁUMACZENIE
MATEUSZ GRZYWA**

OŚWIĘCIM 2021

Dla Jay, pięknej duszy rozświetlającej mój mrok.

*Gwałtownych uciech i koniec gwałtowny;
Są one na kształt prochu zatłonego,
Co wystrzeliwszy gaśnie.*

William Shakespeare, *Romeo i Julia*
(akt II, scena 6)
w przekładzie Józefa Paszkowskiego.

Wstęp

Dziękuję, że sięgnęliście po moją książkę! Jeżeli chcecie otrzymywać bieżące informacje na temat moich premier, zapiszcie się do mojego newslettera lub śledźcie mnie na BookBub.

Rozdział 1

Tru

– Wrócił twój wielki, zły wilk.

Przenoszę spojrzenie z ekspresu do kawy na Carlę, koleżankę z pracy, która właśnie przystanęła obok. Kiedy wypowiada pod nosem to zdanie, szturcha mnie łokciem. Nie muszę się obracać i podążać za jej wzrokiem aż na drugi koniec sali, bo doskonale wiem, o kim mówi. Wystarczy użyta przez nią ksywka i mój nagły wzrost tętna.

Od poprzedniej wizyty mężczyzny w czerni minęło siedem tygodni. Od tego czasu nie widziałam tych gęstych, ciemnych włosów, wielkich, męskich dłoni i drogich garniturów od Armaniego, w których wcale nie wygląda jak sztywny snob.

Można ubrać lwa w pstrokate stroje, ale i tak zawsze to on będzie królem dżungli.

– Nie jest mój – odpowiadam równie cicho, leniwie obserwując skapującą do szklanego dzbanka kawę.

Każdą cząstką ciała wyczuwam bicie serca. Muszę się powstrzymywać, by nie obrócić głowy i na niego nie spojrzeć. Wcale mnie to nie dziwi. Nie znałam wcześniej mężczyzny, którego oglądanie sprawiałoby tyle przyjemności.

– Tru, on przez rok siedział przy tym samym stoliku, i to w twojej sekcji – prycha Carla.

Jedenaście miesięcy, ale kto by tam liczył...

– Jeżeli akurat masz urlop, to facet po prostu obraca się na pięcie i wychodzi. Spławia wszystkie kelnerki, które próbują z nim flirtować. Włącznie ze mną! A przecież te cyczuszki nigdy nie za-

wodzą. No i przecież nie przychodzi tu dla świetnego jedzenia, do cholery.

Patrzy krzywo na trzymany w ręce talerz. Żółte jak flegma ziemniaki z peklowaną wołowiną toną w tłuszczu. Tak, Buddy's All Night Diner zdecydowanie nie słynie z dobrej jakości serwowanych potraw.

– Ze mną też nie rozmawia. Zamawia kawę i tyle.

– Proszę cię. – Carla przewraca oczami. – Wystarczy, jak wodzi za tobą tymi wielkimi wilczymi ślepiami. Pewnego dnia cię połknie jak wilk babcię Czerwonego Kapturka.

Uśmiecham się i kręcę głową.

– No na pewno. Tylko czeka na pełnię, co nie?

Carla odchyła głowę i cicho wyje w sufit jak wilk.

– Spadaj, wariatko. Próbuje pracować.

Odchodzi, bujając biodrami, i zanoszi ziemniaki łysemu facetowi przy dwunastce.

Biorę głęboki oddech i próbuję opanować nerwy, po czym łapię kubek z półki nad ekspresem i ruszam w kierunku stolika wilka.

Czeka i obserwuje. Jak zwykle się nie uśmiecha. Oczy mu płoną, a sam emanuje skupieniem i spokojem, które widywałam tylko w filmach przyrodniczych o wielkich kotach czających się w wysokiej trawie na gazu. Zawsze patrzy na mnie w taki sposób, w ciszy i z głodem w oczach. Niemniej w przeciwieństwie do afrykańskiego kota podczas łowów, w spojrzeniu tego wilka jest pewna czujność, coś w rodzaju wymuszonego opanowania. Obserwuje, jak się zbliżam. Dłonie trzyma rozpostarte na poharatanej blacie, zupełnie jakby dzięki temu mógł je kontrolować.

Staram się zachowywać swobodnie. Zatrzymuję się przy jego stoliku, stawiam przed nim kubek i nalewam kawę. Najwyraźniej lubi ją taką jak wszystko inne: czarną.

– Cześć. Miło cię znowu widzieć – rzucam nieśmiało.

Brawo! Udało mi się utrzymać spokojny głos, choć w brzuchu fruwają mi motyle, a w gardle rośnie gula. Tak naprawdę nigdy

nie rozmawiałam z tym facetem, a jednak teraz rozrywa mi nerwy na strzępy.

– Miło mi być widzianym – mruczy w odpowiedzi.

Och, irlandzki akcent. Prawie zapomniałam, jak rozkosznie brzmi. Jego bogaty, gardłowy szmer przypomina kocie pomruki. Tłumię dreszcz, podnoszę na niego spojrzenie i niepewnie się uśmiecham.

Nawet nie odwzajemnia uśmiechu.

Jak zawsze, gdy nas odwiedza, pozwalam sobie na przegląd jego tatuaży. Ozdobił wszystkie knykcie lewej dłoni. Gwiazdki, korona, nóż wbity w czaszkę i czarny kwadrat, który wygląda tak, jakby zasłaniał jakiś inny stary wzór. Fascynują mnie, podobnie jak kawałeczek tatuażu wystający ponad śnieżnobiałym kołnierzem jego koszuli.

Ta kolekcja dziar intryguje i ciekawi, dokładnie jak jej właściciel.

Postanowiłam, że dziś w końcu z nim porozmawiam, dlatego też zbieram się na odwagę, biorę jeszcze jeden głęboki oddech i wypalam:

– Piękna pogoda, prawda?

Staram się nadać temu stwierdzeniu nieco sarkazmu, bo tak naprawdę za oknem jest koszmarnie, ale wyszło tępawo i nudno. Już ciekawiej by było, gdyby na stół pomiędzy nami z hukiem spadła cegła.

Wilk przygląda mi się w nieprzeniknionej ciszy, a pomiędzy jego ciemnymi brwiami pojawia się mikroskopijna zmarszczka.

Moje policzki płoną z zażenowania. Chcę się już odwrócić i czym prędzej odejść, ale on mówi nagle:

– Uwielbiam, gdy w mieście leje. Przypomina mi dom.

Sądząc po jego minie, też nie spodziewał się, że to powie.

– Dom, to znaczy Irlandia? – pytam ostrożnie.

Waha się, jakby nie był pewien, czy odpowiedzieć. W końcu po prostu kiwa głową.

Wyobrażam sobie pofałdowane wzgórza porośnięte kępami wrzosów o fioletowych kwiatach, paluchy szarej mgły, skradające się po średniowiecznych zamczyskach i urocze chatki, wyrastające na malowniczych klifach. Obraz dopełnia oczywiście wielki czarny wilk wyjący do księżyca w pełni.

Przygląda się bacznie mojej zamyśłonej minie, po czym mówi:

– Byłaś kiedyś w mojej ojczyźnie?

– Nie.

– Jeżeli podobają ci się dzikie miejsca, to powinnaś się wybrać.

– Kocham dzikie miejsca i... dzikie rzeczy – wypalam.

– Czyżby... – mówi cicho wilk, patrząc mi prosto w oczy.

To nie było pytanie. Powiedział to tak, jakby rozważał moje słowa i zastanawiał się, jakie dzikie rzeczy mogę lubić.

Oczywiście, jako że jestem już kompletnie wytrącona z równowagi, zaczynam bełkotać bez sensu:

– Miałam na myśli, że przywykłam do dzikich miejsc. Sama z takiego pochodzę. Jestem z maciupkiej miejsciny w Teksasie, z samego środka dziczy. Niebo jest tam takie niebieskie, że aż oślepia, a równiny ciągną się w nieskończoność. No i może cię tam zabić z milion rzeczy: tornada, skorpiony, jadowite węże, a nawet półślepy podpity kuzyn, który w niedzielę po kościele lubi sobie postrzelać za domem, gdy cała rodzina akurat złazi się na obiad. Wtedy akurat masz na sobie sztuczne futro, które babcia kupiła ci pod choinkę, przez co pechowo przypominasz jelenia.

To przerażające wynurzenie sprawia, że wszystkie drobne hałasy w knajpie wydają się boleśnie głośne, a wałący o dach deszcz brzmi jak salwa artylerii.

Wilk gapi się na mnie z pełną uwagą. Chyba nigdy wcześniej nie widział podobnego wykolejeńca.

– No cóż! – wołam radośnie. – To zostawię pana z kawusią! Do widzonka!

Czerwona ze wstydu uciekam do kuchni. Niestety mamy otwartą kuchnię, by goście mogli widzieć grill i przyglądać się

przygotowywaniu posiłków. Żeby wypłakać się na osobności, muszę pójść za róg i zamknąć się w chłodni.

Kiedy przemyskam przez lokal, Diego, kucharz odpowiedzialny za najpilniejsze zamówienia, posyła mi pytające spojrzenie.

Carla odnajduje mnie pół minuty później. Stoję, wciąż zaciśniętą w dłoni dzbanek z kawą, i beczę.

– Co ty robisz? – pyta.

– Modlę się o tętniaka mózgu. No, chyba że to boli, to w takim razie wystarczy jakaś katastrofa naturalna, która mnie zabije i zamieni w przyzwoicie wyglądające zwłoki.

Carla zastanawia się przez chwilę i podłapuje temat:

– Postawiłabym na gwałtowną powódź, ale wtedy truchło będzie opuchnięte.

– I to całe tonięcie w ogóle jest straszne. Może coś spokojniejszego? Zaciska usta i znowu się namyśla.

– No to może mógłby zaważyć się na ciebie jakiś budynek?

Rozważam tę opcję.

– W sumie to dobry pomysł, ale przecież całkiem by mnie rozpląszczyło. Nie chcę wyglądać jak naleśnik, gdy będą mnie wyciągali z gruzów.

– A co to za różnica? Przecież będziesz już martwa.

Wzdycham ciężko i bez nadziei.

– Są tylko dwie rzeczy, które moja matka kocha bardziej niż Dolly Parton: konkursy piękności i kosmetyki Mary Kay. Nie przeżyłaby, gdyby zobaczyła córkę wyglądającą jak przejechany przez auto kot i nieważne, czy byłabym żywa, czy martwa.

– Przesadzasz.

– Nie znasz jej.

– I dobrze mi z tym. Tak czy siak, facet przy dwunastce życzy sobie dolewki.

– Nie możesz mu dołączyć?

Carla spogląda na trzymany przeze mnie dzbanek.

– Cholera. Czemu Buddy nie dokupi do tej nory drugiego ekspresu?

– Bo ekspres kosztuje. Doskonale o tym wiesz. A teraz leć z dolewką na dwunastkę.

– Nie mogę. Ukrywam się.

– Po co, do ciężkiej cholery?

– Wiem, że trudno ci to zrozumieć, bo nie masz osobowości, która potrafi przekształcić minutową rozmowę we wzorec ludzkiego poniżenia, ale nie mogę pokazać się na sali, dopóki zły wilk nie wyjdzie.

Carla marszczy nos, bo najwyraźniej zauważa, że jest naprawdę kiepsko.

– O nie, coś ty mu powiedziała?

– Na pewno chcesz wiedzieć? Powiedziałam mu „do widzonia”... Jakby wylazła ze mnie wewnętrzna Julie Andrews.

– Nawet nie mów...

Mój śmiech jest pełny czarnej rozpacz.

– A jednak mówię. Ale zanim to zrobiłam, podzieliłam się z nim błyskotliwą anegdotką, jak to postrzelił mnie kuzyn Bubba Joe.

Carla patrzy na mnie z trwogą.

– Proszę cię, powiedz, że nie masz kuzyna imieniem Bubba Joe.

– Mam. Z ręką na sercu. Czegoś takiego bym nie wymyśliła.

– Wow, szczere kondolencje. Naprawdę cię postrzelił?

– Nic mi się nie stało, ale ten idiota władował w moje futro tyle śrutu, że wyglądało to tak, jakby uctwowały na nim mole. A tak przy okazji to dziękuję, że bardziej zszokowało cię jego imię niż fakt, że do mnie strzelał. Doceniam wsparcie.

– Przeżyjesz to jakoś. A teraz idź dolać kawy facetowi przy dwunastce. Postaraj się nie odzywać, bo będę miała po napiwku.

Po tych słowach ta pozbawiona serca czarownica obraca się na pięcie i odchodzi.

Prostuję plecy i obiecuję sobie w duchu, że już nigdy nie odezwę się do wilka. Moja towarzyska niepewność upokorzyła mnie wystarczająco jak na jeden wieczór.

Życie jest niesprawiedliwie trudne dla introwertyków. Coś tak zwyczajnego, jak interakcja z inną istotą ludzką, potrafi wytrącić nas z równowagi na wiele dni. Prawdę mówiąc, nie wiem, czy znam choć jeden konkretny plus kontaktów towarzyskich. Gdybym nie musiała zarabiać na życie, nie wychodziłabym z mieszkania.

Niestety, ale ze względu na nerwowość, bezładną paplaninę i tak dalej, często bywam brana za ekstrawertyczkę. Nie zliczę, ile razy musiałam chować się w toalecie i wykonywać ćwiczenia oddechowe, żeby się uspokoić.

Wracam na salę, ale nawet nie patrzę w stronę wilka. Kiedy docieram do łyszego gościa przy dwunastce i nalewam mu kawę, ten burczy coś w podziękowaniu z buzią pełną ziemniaków.

I w tym momencie czuję dziwne pieczenie na skórze, jakby przeszedł mnie prąd. Podnoszę wzrok i zauważam, że wilk wpatruje się we mnie z drugiego końca sali, jakby miał mnie na muszce.

Nerwowo zakładam kosmyk włosów za ucho, biegnę do lady i odnoszę dzbanek do ekspresu, po czym zaczynam wszystko wycierać i porządkować. Jest już późno. W knajpie zostało dwóch gości, z czego tylko jeden je, więc nie mam wiele do roboty poza zachodzeniem w głowę, jak naprawdę nazywa się ten wilk, czy jest żonaty i czy dziś widziałam go ostatni raz w życiu.

Pewnie właśnie szuka w komórce nowego lokalu, gdzie będzie mógł chodzić na kawę. Lokalu, który zatrudnia sprawne intelektualnie kelnerki.

Kilka chwil później słyszę za plecami głęboki głos.

– Mnie też kiedyś postrzelił półślepy podпиты wieśniak.

Aż podskakuję ze strachu i się odwracam.

Oto on. Stoi po drugiej stronie lady. Mroczny, dziki i boski. Patrzy na mnie, jakby w całym lokalu nie istniało nic innego, jakby nie istniało miasto, nie istniał świat.

– Tylko że on nie był wieśniakiem. Nie był też podпиты...

– Wymownie zawiesza głos. – Ani półślepy.

Jego ciemne oczy przekazują głośne i wyraźne ostrzeżenie: „Jestem niebezpieczny, trzymaj się z dala”.

Już za późno. Jego głodne spojrzenie i hipnotyzujący głos już mnie zniewoliły. Łamię złożoną przed chwilą obietnicę, bo muszę wiedzieć więcej.

– Czyli oboje zostaliśmy postrzeleni.

– Ano. Ciekawy wspólny mianownik, nie sądzisz?

Gdybym była w stanie korzystać z mózgu, to jego przytłaczająca męskość i tak zasiałaby w nim pożogę. Zakładam, że pytanie było retoryczne, więc milczę.

Jego wzrok pada na plakietkę z moim imieniem.

– Tru – czyta. – To jakiś skrót?

Waham się, ale postanawiam iść na całość i mu opowiedzieć.

– Od Truwy. Zostałam nazwana na cześć postaci granej w *Stalowych magnoliach* przez Dolly Parton. Prowadzi tam salon piękności.

Wilk przechyla głowę. Chyba czeka na dodatkowe wyjaśnienie, które miałyby choć pozory sensu.

Musiałby czekać naprawdę długo.

– Moja mama jest wielką fanką Dolly. Wszystkie córki nazwała imionami postaci z jej filmów.

Te słowa wypowiedziane na głos brzmią jeszcze gorzej niż w myślach. Nerwy biorą nade mną górę i znowu zaczynam bredzić:

– Moja najstarsza siostra to Doralee, czyli pyskata sekretarka z *Od dziewiątej do piątej*. Druga starsza siostra to Mona, nazwana na cześć damy prowadzącej burdel „Kurza ferma” w filmie *Najlepszy mały burdelik w Teksasie*. Byłoby mi jej szkoda, ale tak naprawdę Mona jest upierdliwa, wszystkich ocenia, a siebie uważa za ideał, więc pasuje jej imię po prostytutce. A może jest taka właśnie przez to imię? Nigdy wcześniej nie przyszło mi to do głowy. Wracając, następna jest Louisa. Kolejna postać ze *Stalowych magnolii*, bo – według mojej mamy – to najlepszy film w dziejach kinematografii. To imię też pasuje, bo postać była marudna i nerwowa, dokładnie jak moja siostrzyczka. No i w końcu ja, Truwy. Rodzinne

maleństwo. – Odchrząkuję. – Mam jeszcze czterech braci, ale ich nazywał tata. Na szczęście on nie jest fanem Dolly.

Wilk kiwa głową, jakby wszystko, co właśnie powiedziałam, było najzupełniej normalne.

– Czyli łączy nas coś jeszcze. Też mam siedmioro rodzeństwa. Moja samoświadomość znika, bo jestem zbyt wstrząśnięta.

– Żartujesz.

– Rodzice byli irlandzkimi katolikami. Stara gwardia. Uważali antykoncepcję za grzech śmiertelny.

– Szkoda, że moi rodzice nie mają religijnego wyjaśnienia – kwituję to cierpko. – Zakładam, że byli po prostu za biedni na antykoncepcję.

Wilk gapi się na mnie jak na kosmitkę. Jestem pewna, że powiedziałam coś nie tak, lecz wtedy mówi:

– A to numer cztery.

Numer cztery? O co mu chodzi?

– Yyy...

– Pochodzę z biednej rodziny, zupełnie jak ty. To czwarta rzecz, która nas łączy.

Ten fakt wydaje się go niepokoić. I trudno go winić. Czas na dowcip.

– Jeżeli powiesz mi jeszcze, że najbardziej lubisz pistacjowe lody, to pewnie jesteś pisani sobie na wieczność.

Boże przenajświętszy, te słowa naprawdę właśnie opuściły moje usta.

Miażdżąc cudowny mężczyzna, którego uraczyłam właśnie tym koszmarnym zdaniem, patrzy na mnie w milczeniu, a ja liczę, że ziemia zaraz się podę mną rozstąpi i mnie pochłonie.

Niestety się nie rozstępuje. Czas ratować resztki godności.

– No cóż, świetnie się gawędziło, ale powinnam wracać do pracy.

Uporczywie mi się przygląda, przy czym nawet nie mruga. Żadne z nas się nie porusza. Po prostu na siebie patrzymy. Moje policzki zalewa żar, on zaciska szczękę. Jestem prawie pewna, że wie, że twardnieją mi sutki.

W końcu wykonuje jakiś ruch. Nie odrywając ode mnie wzroku, sięga do płaszcza, wydobywa portfel, odlicza kilka banknotów i kładzie je na ladzie. Następnie zamyka portfel i chowa go z powrotem.

Przez kilka sekund wygląda tak, jakby coś rozważał. Ma ściągnięte brwi i zamyśloną minę. Potem robi długi wydech.

– Pracujesz jutro wieczorem?

Nie ośmielam się ponownie otwierać ust, więc tylko kiwam głową, a wilk robi to samo. Z jakiegoś dziwnego powodu mam wrażenie, jakbyśmy właśnie umówili się na randkę. Gdy odwraca się i odchodzi, z ulgi prawie rozpływam się na podłodze.

Wtedy on znowu odwraca się i przygważdża mnie jednym ze swoich wygłodniałych spojrzeń.

– A tak przy okazji, dziewczyno. Rzeczywiście najbardziej lubię pistacjowe – mówi niskim, lekko ochrypłym głosem.

Patrzy mi w oczy tak długo, że prawie schodzę na zawał, ale w końcu ostatecznie odwraca się i wychodzi z lokalu, znikając w deszczowej nocy, jakby ta go połknęła.

Rozdział 2

Liam

Cholera jasna. Cholera jasna i do wszystkich diabłów!

Wiedziałem, że nie powinienem tu dziś przychodzić. Przyrzekłem sobie, że tym razem będę trzymał się z dala. I to szczerze. Ale moja stanowczość zniknęła, gdy tylko pilot posadził samolot na pasie startowym.

„Tylko jedno spojrzenie”, wmawiałem sobie, gdy kazałem Declanowi zboczyć z zaplanowanej trasy. „Ostatnia okazja, żeby pogapić się na te wielkie zielone oczy. Potem od razu z tym skończę. Potrzebuję jednego zerknięcia, po czym raz na zawsze zostawię tę chorą obsesję za sobą”.

I naprawdę w to wierzyłem. Kurwa, jakim ja jestem zjebem.

Wyglądam przez szybę z przytulnej tylnej kanapy cadillaca escalade. Po drugiej stronie bulwaru, za lejącym deszczem i pasami mijających mnie samochodów, jasne światła Buddy's Dinner lśnią w mroku jak latarnie morskie. Ona tam jest i rozmawia z koleżanką, z tą cypatką brunetką, która wygląda przy niej jak gołąb przy dziele Picassa.

Tru. Dziewczyna nazwana na cześć postaci z jakiegoś filmu. Nieśmiała piękność z delikatnym, południowym zaśpiewem, z oczami w kolorze morskiego szkła i uśmiechem, który niemal mógłby sprawić, że mężczyzna taki jak ja uwierzy w Boga.

– Szefie, jesteśmy spóźnieni – mówi cicho z przedniego siedzenia Declan.

– Wiem.

Jeżeli brzmie na rozdrażnionego, to tylko dlatego, że jestem wściekły na siebie. Nie na niego.

Jedenaście miesięcy odmawiania sobie czegoś, czego tak pragnę, odbiło się na mojej cierpliwości.

Przyglądam się jeszcze chwilę. Szkoda, że nie mam talentu do rysowania. Naszkicowałbym jej twarz po tysiącokroć, spróbowałbym uchwycić delikatność jej oczu, gdy spogląda na mnie zza tych długich rzęs, i uwieczniłbym uderzenia gorąca, kiedy jej wzrok zjeżdża na moje usta.

Lecz moje ręce zostały stworzone do zdecydowanie brutalniejszych zajęć niż malowanie portretów pięknych, skromnych dziewczyn.

Liamie, postąp właściwie. Trzymaj się od niej z daleka. To, że oboje pochodzicie z wielodzietnych rodzin i lubicie lody pistacjowe, jest tylko głupim zbiegiem okoliczności. To, że ona też lubi dzikie miejsca, że też dorastała w małym miasteczku i patrzy na ciebie, jakby nie widziała w życiu niczego bardziej fascynującego, nic nie znaczy.

Ona nie jest dla ciebie. Twoje życie by ją pożarło i wypłuło same kości.

Odrywam wzrok od okna, przeczesuję włosy dłonią i polecam Declanowi, żeby jechał, byle szybko.

Im szybciej stąd zniknę, tym lepiej dla nas.